

STUDIA IBERYSTYCZNE

**Księga Pamiątkowa dedykowana
Profesor Jadwidze Koniecznej-Twardzikowej**

STUDIA IBERYSTYCZNE
nr 8

Redakcja pisma „Studia Iberystyczne”

Anna Sawicka (redaktor naczelny i sekcja katalońska)

Maria Filipowicz-Rudek (sekcja galicyjska)

Anna Rzepka (sekcja portugalska)

Ewa Nawrocka (sekcja iberoamerykańska)

Rosanna Krzyszkowska-Pawlik (sekretarz redakcji)

ZROZUMIEĆ JĘZYK, PRZETŁUMACZYĆ ŚWIAT

**Księga Pamiątkowa dedykowana
Profesor Jadwidze Koniecznej-Twardzikowej**

Pod redakcją:
Marii Filipowicz-Rudek,
Małgorzaty Jędrusiak,
Agaty Komorowskiej



Księgarnia Akademicka
Kraków 2009

Copyright by Instytut Filologii Romańskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego

Recenzenci:

dr hab. Beata Baczyńska (prof. UWŕ)
dr hab. Anna Bochnak (prof. UJ)
dr hab. Jerzy Brzozowski (prof. UJ)
dr hab. Jadwiga Miszałska (prof. UJ)
prof. dr hab. Stanisław Widłak

Konsultacja językowa:

R. Sergio Balches Arenas
Karolina Farrel
Xavier Farré Vidal
Justyna Mętrak

Korekta: Ewa Popielarz, Anna Wawrzyniak
Skład i łamanie: Małgorzata Manterys-Rachwał
Projekt okładki: Marzena Blecharczyk

Publikacja dofinansowana przez
Wydział Filologiczny Uniwersytetu Jagiellońskiego

ISBN 978-83-7638-015-5

KSIĘGARNIA AKADEMICKA

ul. św. Anny 6, 31-008 Kraków
tel./faks: 12 431-27-43, 12 663-11-67
e-mail: akademicka@akademicka.pl
Księgarnia internetowa:
www.akademicka.pl

Spis treści

Anna Sawicka: Zrozumieć język – przetłumaczyć świat – zrozumieć świat	7
Maria Filipowicz-Rudek: Kalendarium życia. O nieustającym dialogu między Don Kichotem a Sancho Panzą	13
Przegląd ważniejszych publikacji Profesor Jadwigi Koniecznej-Twardzikowej	23
Piotr Sawicki: Trzydzieści lat, parę chwil – nie tylko w Krakowie. Głos do portretu Jadwigi	29
Olgierda Furmanek, Hanna Połomska: Z panią Jadwigą po przygodę	39

ZROZUMIEĆ JĘZYK

Beata Brzozowska-Zburzyńska: Przegląd niektórych hiszpańskich przymków przestrzennych	57
Monika Głowicka: Koncept liczbowy w polskich i hiszpańskich związkach frazeologicznych	75
Danuta Piekarz: L'uso di forme di cortesia in italiano e in polacco – approccio contrastivo	93
Ewa Stala: Hiszpański Buenos Aires w kontekście historyczno-kulturowym	103
Andrzej Zieliński: El concepto de <i>perífrasis verbal</i> : su origen y datos historiográficos	111
Małgorzata Jędrusiak: <i>Operacje</i> Zeno Vendlera a „rezultatywność” w języku hiszpańskim	121
Agata Komorowska: Concepto de emisor y la deixis de persona en los textos periodísticos	133

PRZETŁUMACZYĆ ŚWIAT

Danuta Kucała: Różne spojrzenia na autonomię przekładu	149
Tadeusz Szczerbowski: O przekładzie kreatywnym (malajski pantun)	161

Anna Bednarczyk: <i>Sonety krymskie</i> po rosyjsku – kilka uwag o przekładach romantycznych i współczesnych	173
Piotr Sawicki: Zagadka „fujarki ze srebra”. <i>Pieśni hiszpańskie</i> Edwarda Porębowicza – od spolszczenia do oryginału	189
Urszula Aszyk: En torno a la recepción crítica e intentos de traducción del <i>Arte nuevo de hacer comedias</i> de Lope de Vega en Polonia	217
Jerzy Achmatowicz: Maternidad, cantos y flores... (algunos aspectos sobre traducción del <i>Nican Mopohua</i> , la principal fuente de estudios del fenómeno guadalupano en México)	233
Tomasz Pindel: Tłumacz i jego błędy, czyli o krytyce przekładu w prasie	253
Marzena Chrobak: Bracia Malinche, czyli o tym, jak Fortuna sprzyja śmiałym tłumaczom. Szkice	265
Xavier Farré Vidal: <i>Los inmigrados</i> de Lojze Kovačič en la traducción al español	275
Maja Koszarska: „Wiedźmin” czy <i>brujo</i> ? Kilka uwag o tłumaczeniu neologizmów	287
Olgierda Furmanek: Usefulness of the backtranslation process in poetry translation	301
Olgierda Furmanek: Entrevista con Ana María Fagundo	319
Sabina Deditius: Świat Wysp Kanaryjskich oczami Alonso Quesady na przykładzie tłumaczenia na polski opowiadań ze zbioru <i>Kanaryjczyk</i>	333
Urszula Dąmbska-Prokop: Uwagi o tłumaczeniu dokumentów	343
Katarzyna Kruk-Junger: Czy wystarczy rozumieć, by tłumaczyć? Czyli w poszukiwaniu idealnego tłumacza ustnego	355
Ubaldo Cerezo Rubio: El Traductor Jurado de polaco en España. Aspectos cuantitativos	365

ZROZUMIEĆ ŚWIAT

Maria Falska: Struktura czasowa w komedii Jaime Saloma <i>El baúl de los disfraces</i> (<i>Kufer z kostiumami</i>) i jej możliwe źródło inspiracji	397
Nina Pluta: Los interpretadores o sobre cómo enfocan la realidad los protagonistas de la narrativa pseudo-criminal hispanoamericana	409
Olga Glondys: La Polonia cercana e idealizada de los exiliados republicanos catalanes	423
Maria Filipowicz-Rudek, Hubert Hładij: Na wozie Maragaty	437

Olgierda Furmanek
Wake Forest University, North Carolina, USA
Hanna Połomska
Uniwersytet Gdański

Z panią Jadwigą po przygodę

Ulica Straszewskiego w Krakowie. Na zajęcia ze studentami II roku wchodzi „Hiszpan z poprzedniego wcielenia”. Ubrany w brązy czy popiele, długa spódnica i duża torba, z której dość chaotycznie będzie wydobywać jakieś kartki. Zaczynają się ćwiczenia z gramatyki opisowej języka hiszpańskiego i zarazem wielka przygoda spotkania z tą osobą. Zajęcia nigdy nie odbywają się w uprzednio zaplanowanym porządku, przeszkadzają w tym owe kartki z ważnymi bieżącymi informacjami na temat hiszpańskojęzycznej literatury i fascynujące przykłady jej nieprzekładalności. Rozbiór hiszpańskiego zdania jest równie porywający, a nawet budzący spory. Może dzięki temu, mimo okrojonego czasu, jaki mu poświęcamy, zawsze zdążamy jednak się nim zająć i w końcu pomyślnie zdajemy egzamin końcowy z tego przedmiotu. To sztuka rozbudzić w sobie i w słuchaczach tyle namiętności za pomocą gramatyki.

Nasz Hiszpan zachowuje się wobec nas dość swobodnie i naturalnie, nie ukrywa, skądinąd trudnego chyba do ukrycia, braku uporządkowania czy zdarzającego mu się nierzadko, jako osobie wciąż odkrywającej jakąś rzeczywistość, gwałtownego zdziwienia, podkre-

ślanego często solidnym położeniem dłoni na własnym czole. Mamy poczucie, że to odkrywanie świata odbywa się z nami.

Zwraca się do nas jednak bardzo... no właśnie: jak? Nie oficjalnie ani z dystansem, mimo że zawsze używa pełnych form naszych imion: Mario, Urszulo, Rosanno, Hanno czy Olgierdo. Podobne traktowanie nie omija nawet osób mu bliskich: „Szedł właśnie Twardzik, mój mąż” (pewnego wieczoru po seminarium magisterskim przed budynkiem PAN).

W świat swojej fascynacji wprowadza nas nie tylko na zajęciach czy *tertuliach* w kawiarni „U Literatów” przy ulicy Kanoniczej. Informuje nas o możliwości wyjazdu w ten prawdziwy, daleki świat naszych stypendiów, które też pomagają nam „wychodzić” u osób władnych coś załatwić w tamtej rzeczywistości sprzed przemian politycznych roku 1989: „Z panem K. udało mi się porozmawiać za firanką i przypomnieć o naszych studentkach...”. A potem Kuba, Meksyk, Wenezuela...

Olgierda:

„Co o tym myślisz, Olgierdo?” Formalna, oficjalna wersja mojego imienia jakoś nigdy wcześniej nie była nasycona ciepłem i obok Oli funkcjonowałam ewentualnie jako Olka. A tu: Olgierdo, Olgierdo! Podśmiejmy koleżanek z grupy, moja konsternacja, nawet lekki, acz stłumiony bunt i... nagle... zupełnie inny smak, doświadczenie dobrej powagi ze szczyptą dystansu do siebie – jak we fraszkach Kochanowskiego – polskości do cna, szacunku dla formy. Jakoś po prostu nie mogłam być inaczej nazywana w Instytucie Języka Polskiego PAN.

Starsze grupy „ibero” mówiły „pani Jadwiga”, lecz dla mnie „pani Twardzikowa” była właśnie tą kwintesencją polskojęzyczności, podobnie jak formy Olgierda, Hanna, Urszula. Częściową kontynuacją Akademii Krakowskiej, mgieł nad Plantami o poranku, ciepła pieców na Straszewskiego, bruków wyszlizganych habitami tyłu świętych – była świadomość, z radością i z szacunkiem wymawiana, a nawet wpiisywana w indeksie właśnie ta końcówka „-owa”.

Możliwość niekończących się pytań, które wystarczy zadać, na które i tak odpowiedzi nie będzie, bo może i nie ma, ale pytać trzeba.

W oczach pani Twardzikowej pytanie również do nas, czy nas to interesuje, czy się tym zajmimy; właśnie to niedowierzanie, szukanie potwierdzenia staje się nieuchwytnym wprowadzeniem we współodpowiedzialność badacza, odkrywcy, twórcy.

Zadyszka, gdy wspinało się na czwarte piętro, wcześniej anonując swoje przybycie u portiera, co siedział jako ten cerber w owej wielkiej kamienicy o przedwojennym zapachu; a przy zadyszce zaparty dech... Bo z każdym krokiem w górę po schodach coraz mocniejsze, wciągające doświadczenie naukowego Krakowa, Krakowa Kopernika, Jana z Kęt, Kadłubka, słynnych profesorów międzywojnia, Wojtyły.

Garcia Yebra i Garcia Yebra, raz po raz, w charakterystycznej, koloru kości słoniowej obwolucie wydawnictwa Gredos, który później, gdy widziałam go na półkach amerykańskich bibliotek uniwersyteckich, mrugał do mnie porozumiewawczo, choć nigdy nie przeczytałam chyba więcej niż kilkanaście stron...

Losowanie: Wenezuela czy Kuba?! Wenezuela czy Kuba?! Komu przypadnie w udziale to jedyne dla naszego roku miejsce na najatrakcyjniejsze stypendium? Do Wenezueli pojechała Lucyna. A dla mnie największą wartością okazało się wspólne, prawie roczne przeżywanie Kuby razem z Magdą, Kingą, Ireną, a przede wszystkim z Hanią.

Z Hanią nie tylko przeżywałyśmy, ale i przemyśliwałyśmy – wykuwałyśmy się wzajemnie, umacniając wartości i szlifując pojęcia, zachwycając się innością i przegryzając wybory, wspólnie się modląc. Nasza Kuba z 1989 roku to nie *all inclusive* Varadero czy inny kurort z karaibskiego, podretuszowanego folderu (bo w sumie i tak piasek jest delikatniejszy i bielszy nad Bałtykiem). Na Kubie jest zupełnie inaczej, gdy ma się zielony *carné de identidad*, gdy krzyczy się: *último*, stając na przystanku w kolejce do autobusu, gdy w portmonetce grzecznie siedzą obok siebie czarne i czerwone peso, a w plecaku mielone mięso ze sklepu dla dyplomatów targane na handel.

Zza horyzontu wytaczała się o siódmej rano ogromna pomarańczowa kula słońca i momentalnie, w ciągu kilku minut zaczynała intensywnie, niemiłosiernie grzać, tak że po południu powietrze aż drgało od upału, do tego przesyczone erotyzmem, który przenikał nas

nawet, gdy Kubańczyk podawał rękę, by pomóc wysiąść z autobusu. Hania chodziła na uniwersytecką stołówkę z wytrwałą nadzieją, że pewnego dnia będzie coś innego niż rosyjskie sardynki z puszki na ciepło plus brudny, żwirowaty ryż lub makaron z sosem pomidorowym (do dziś najwyszukańsze spaghetti w wykwintnej włoskiej restauracji kojarzy mi się ze stołówką na CUJAE). Ale za każdym razem przychodziła i mówiła tylko: „przynajmniej bułeczki przyniosłam”. Obie umierałyśmy ze strachu, że komary zarażą nas AIDS, gdy w sali telewizyjnej siedziałyśmy tuż obok Kubańczyków, a komary miały ucztę wielokrwistą.

Santiago, Pinar del Río, Trinidad – byliśmy na te wyprawy przygotowane, przygotowane duchem podboju pani Twardzikowej, choć wracałyśmy do stolicy pełne rosnącej wdzięczności za to, że udało się wywalczyć, byśmy zostały w Hawanie, a nie w ramach prewencji odwilży '89 roku karno-izolacyjnie były przeniesione do Santa Clara, jak studenci z NRD, Bułgarii czy Czechosłowacji. Nawet nie pamiętam, czy za to kiedykolwiek podziękowałyśmy... a to było bardzo ważne. W tym samym też walecznym duchu na cały głos puszczałyśmy w akademiku przez okno Radio Martí z Miami! Tak, Kuba, spiralnie rozwijają się wspomnienia... Takie pełne, wielowymiarowe doświadczenie nie byłoby możliwe bez starań i troski pani Twardzikowej.

Hanna:

Zamykam oczy i przenoszę się w czasie.

Samolot do Hawany, tylko do połowy wypełniony, jest miejscem mojego pierwszego kontaktu z mieszkańcami wyspy. Stewardesy, dość swobodne w zachowaniu i ubiorze, czasem z rękoma w kieszeni, jakby obsługujące w kapciach. Podróżni tonący, a ja z nimi, w nikotynowym dymie przez całe 12 godzin; miejsc dla niepalących po prostu nie ma. Moi współpodróżni to swego rodzaju wybrańcy cieszący się możliwością opuszczania swego kraju i urzeczywistniania zagranicznych podróży. I starsza Galisyjka, żona Kubańczyka, jako jedyna ze swej rodziny mająca podobny przywilej.

Czuję wśród tych ludzi, że jestem już bardzo daleko od domu i tego, co znam. W myślach sprawdzam, czy wszystko, co potrzebne, zabrane, nie mogę ukryć satysfakcji z udanego wniesienia na pokład szesnastokilogramowego bagażu podręcznego z kilkoma kilogramami proszku do prania na cały rok; w końcu w ojczyźnie tamtych lat też można było niejednego się nauczyć... W wykazie mojego mienia przesiedlenia widnieje m.in. dziesięć par skarpet, ścierki, grzałka, miska, mydło...

Nasza maszyna cudownie goni słońce. Oprócz proszku i suszonej kiełbasy wiozę ze sobą młodość i ciekawość świata. U celu lądujemy późnym wieczorem.

Centro Universitario José Antonio Echevarría. Rozmowy i nawoływania, które nazajutrz dobiegają spod okien akademika CUJAE, nie przypominają

języka,

którego uczyłam się na uniwersytecie, kojarzą się raczej z jakimś afrykańskim narzeczem. Z czasem jednak będę go rozumieć, mimo nosowej wymowy i polykanych końcówek słów.

Klimat

Słońce. Tutejsza codzienność naznaczona jest niepodzielnym jego panowaniem. Pierwsze wyjście na zewnątrz w dzień to moja zbyt biała skóra i jego zbyt silne promienie. Jego tarcza niezawodnie wychyla się co rano zza horyzontu. Wyrazista, pewna siebie, mocarna.

Mimo słońca – wilgoć, woda na całej skórze, na szyi, przedramionach, wszędzie. Woda z kranu płynie za to tylko w nocy i krótko w południe, wpompowuje się ją do zbiorników na dachach domów, gdzie ogrzewa się w promieniach władcy. Nocą konieczna jest moskitiera.

Okna z reguły nie mają szyb, zastępują je drewniane żaluzje zamykane najszczelniej w dzień, a uchylane w nocy, by wpuścić odrobinę chłodu. Trudno się więc zamknąć w domu, odizolować od świata zewnętrznego, którego oddech przedostający się przez szczeliny między

deseczkami jest słyszalny zawsze. Życie na zewnątrz odrobinę zamiera w połowie dnia, by wieczorem odzyskać tempo i wigor. Szyb nie mają również okna autobusów (*las guaguas*) przemierzających hawańskie ulice dzięki radzieckiej ropie i pozostawiających po sobie na przystankach czarne chmury. Taka klimatyzacja dość dobrze funkcjonuje, kiedy autobus jest w ruchu, trudno jednak opisać samopoczucie podróżnych, gdy pojazd stanie.

System i życie

W podróży do polskiej ambasady towarzyszy mi jedna z koleżanek, które dotarły tu przede mną. Trzeba jak najszybciej zdeponować w bezpiecznym miejscu dolary, których nie zadeklarowałam na lotnisku w obawie przed przymusową wymianą ich na rodzaj bonów, tzw. peso B. Mogą się przydać na wycieczce do Meksyku i w drodze powrotnej przez Madryt.

Ambasada wyświadcza nam jeszcze jedną przysługę – połowę naszego stypendium otrzymywanego w zwykłych peso (tzw. czarnych) zamienia na peso czerwone, czyli jeszcze inne bony, którymi można płacić w sklepie dla dyplomatów i tym samym uzyskać dostęp do artykułów żywnościowych nieuchwytnych na zwykłym rynku. Sklepy dla przeciętnych Kubańczyków świecą niemalowanymi blachami półek i udaje się nam w nich kupić jedynie solone masło, chleb i dżem. Cukier na kartki. Na lokalnych ryneczkach zdobywamy sezonowe jarzyny, rzadko owoce, więc najpierw pomarańcze, miesiąc później wyłącznie pomidory itd. Ze stołówki akademickiej przestajemy korzystać.

Do sklepu dla dyplomatów nie każdy ma jednak wstęp, nawet pomimo posiadanego właściwego rodzaju „pieniędzy”. Przy wejściu trzeba okazać odpowiednią legitymację ze zdjęciem. Początkowo jeździmy więc tam z kierowcą ambasady, po czasie jednak i z niejakimi oporami jeden z polskich pracowników godzi się na wystawienie jednej legitymacji na naszą szóstkę stypendystek (jest tu z nami także Beata z Warszawy). A że dla Kubańczyków wszystkie Polki to blondynki, zdjęcie nie jest przeszkodą i „wejściówka do diplo” krą-

ży między nami regularnie. Niezadowolenie ambasady, że na koncie „naszej” legitymacji widnieje spora ilość mielonego mięsa. Oprócz koniecznej żywności dla siebie każda z nas kupuje bowiem po kilka paczek wyżej wymienionego i odsprzedaje potem z korzyścią starszej Kubance (kontakt przekazany przez poprzednich stypendystów), która tak jak i my nauczyła się funkcjonować w tym systemie. Za w ten sposób zdobyte środki polskie spekulantki podróżują po wyspie.

Oprócz uroków kraju odkrywamy wciąż nowe odcienie komunizmu, nie wszystkie hotele bowiem, podobnie jak sklepy, są dla Kubańczyków czy nawet dla nas, posiadaczy czerwonych peso. Do hoteli dolarowych niektórym nie wolno nawet wejść. Dowiadujemy się też, jak gwałtowne może się okazać posądzenie o posiadanie zakazanych dolarów, kiedy Ola zostaje „zaproszona” z ulicy do policyjnego wozu i poddana rewizji czy też gdy wieczorem dwóch naszych najbliższych znajomych zostaje przy nas na ulicy uprowadzonych przez policję. Dolarów nie mają, a legitymacja zrzeszenia socjalistycznej młodzieży jednego z nich ostatecznie pomaga im wyjść na wolność, bez obicia i tego samego wieczoru.

Listy do i z Polski idą długo. Najlepiej podać przez kogoś lub zadzwonić. Dzwoni się w nocy z hotelu znajdującego się w centrum Hawany, od nas godzina drogi autobusem. Na zamówioną rozmowę trzeba poczekać. Połączenie odbywa się przez satelitę. Koszt 14 minut rozmowy z Polską to prawie połowa naszego miesięcznego stypendium.

W telewizji dużo radzieckich filmów i częste, długie przemowy Fidela. *El comandante* gestykuluje i z zaangażowaniem opowiada o udanych zbiorach trzciny cukrowej czy też grzmi na niewierną systemowi Polskę... *Socialismo o muerte*. Żarty się kończą, na śmierć zostaje skazany także niewierny generał Ochoa, którego „proces” transmituje godzinami kubańska telewizja. Podobno handlował narkotykami, więc taki „wrzód należy wyciąć” – deklarują zwolennicy Fidela. Takich osób bezkrytycznie, infantylnie powtarzających gotowe formułki słyszymy jednak coraz mniej. Pojawiają się za to słowa otwartej krytyki. Są też ideowcy, którym trudno uwierzyć w to, co sami widzą. Przed powrotem do Polski dostanę od Rafaela na pożegnanie

książkę z wierszami José Martí, pocziwego socjalisty z XIX wieku, którego pomnik stoi na Placu Rewolucji w Hawanie, a popiersie można znaleźć w każdej najmniejszej miejscowości, nawet przed drewnianym wychodkiem w górach – to dopiero dowód oddania działaczy ds. propagandy.

„Najpiękniejsza ziemia, jaką widziały oczy ludzkie”

Krzysztof Kolumb, *Pisma*

Na zachód od Hawany, w okolicy Pinar del Río – mogotowe wzgórza wyglądające jak maszerujące po równinie słonie, w południowo-zachodniej części – Półwysep Zapata, mokradła, jeziora i hodowla krokodyli, a na południu wyspy – góry porośnięte tropikalnym lasem, no i morze, morze...

Wszystko tu łagodne, jakby niechące niczym zaskakiwać – piaszczyste plaże, w większości z płaskim zejściem do morza, jeśli jakieś nadmorskie skałki, to ledwie wystające spod piasku, właściwie żadnych urwistych wybrzeży. Nawet górcom brakuje tego pazura ostrości i surowości znanego nam choćby z Tatr.

Chyba najwięcej kontrastów nosi w sobie sama Hawana, w której biją dwa serca: w nowocześnie wyglądającej dzielnicy Vedado dominują jeszcze poamerykańskie, dobrze utrzymane i funkcjonujące wysokie hotele, a zabytkowa Habana Vieja przyciąga pięknem i wielkością kolonialnych kamienic, zadziwiając jednocześnie ich zaniedbanym stanem, sterczącymi często na tle nieba, pozbawionymi bocznych ścian fasadami budynków. Wciąż pięknych, choć okaleczonych... A nieopodal oślepiający bielą ścian odnowiony budynek Muzeum Rewolucji.

Kolonialne starówki innych miast, Cienfuegos czy Santiago, stosunkowo zadbane i nie tak tragiczne w wyrazie. Camagüey uderza swą prowincjonalnością, nieutwardzonymi drogami nieopodal centrum, małomiasteczkową atmosferą.

Ludzie

to najbardziej zastanawiający i fascynujący aspekt tej ziemi, który dziwi, urzeka, a czasem zatrzaża. To największe zaskoczenie i zarazem wartość mojego wyjazdu. Ta wyspa jest skrzyżowaniem całego świata, miejscem, w którym spotkały się i zamieszkały razem różne rasy i kultury, w którym wciąż pojawia się pytanie o tożsamość i korzenie.

W Centrum Starej Hawany, przy końcowym przystanku autobusu, którym tu docieramy z naszego miasteczka akademickiego, rośnie wysokie drzewo, *Ceiba de las Américas*, pod które symbolicznie nasypało ziemi przywiezionej z obu Ameryk. Być może to rodzaj pocieszenia i odpowiedzi na to pytanie: tym, co się liczy i co nas łączy, jest nasze obecne wspólne miejsce na ziemi.

Rdzenni Indianie nie pozostawili po sobie zbyt wielu śladów na wyspie. Zostali wybici przez kolonizatorów i choroby, które ci ze sobą przynieśli. Połowa obecnej ludności to biali, potomkowie Hiszpanów. Ale przecież ci ostatni sprowadzili ze sobą do Ameryki nie tylko dziedzictwo europejskie i chrześcijaństwo, lecz także elementy kultury arabskiej i żydowskiej, z którymi współistnieli przez wieki na Półwyspie Iberyjskim.

Druga połowa to Murzyni i Mulaci o różnych odcieniach skóry i zadziwiających czasem rysach. Ładni. Wymieszani z tymi, których zastali na wyspie. Można tu spotkać Mulata albinosa czy Mulata skośnookiego – to z kolei ślady napływu ludności azjatyckiej na przełomie XIX i XX wieku.

Na ulicach rzucają się w oczy czyste, nieprzepocone mimo upału koszule z zaprasowanymi na kant rękawkami. Ludzie są uprzejmi, otwarci i cierpliwi. Nie dostrzegam agresji, nawet gdy kierowca autobusu wysiada w połowie trasy, by napić się kawy. I sklejone pary zakochanych. Ta jawna czułość budzi mój podziw, który zmąci dopiero świadomość innego niż moje rozumienia tego, co intymne, i tego, co chciałoby się nazywać miłością. Dociera to do mnie wyraźnie podczas występu studenckich grup tanecznych na estradzie politechniki: przy rytmach gorącego *merengue* taniec imitujący zbiorową kopulację.

Innym razem szokują kierowane do nas bezpośrednio, niezobowiązujące koleżeńskie propozycje wspólnej nocy pod moskitierą...

Las fiestas. To prawda, nikt nie potrafi bawić się tak jak Kubańcy przy rodzimej muzyce. My długo nie możemy nauczyć się tak poruszać i tańczyć jak oni, całym sobą, niezależnie od wieku, bez kompleksów, z wyczuciem i akceptacją swojego ciała. Obraz otyłej, tańczącej w kuchni mamy jednego z naszych kolegów.

Gorący klimat, zmysłowa muzyka i taniec, ciepło i otwartość ludzi są porywające i... niebezpieczne. Mamy przecież niewiele ponad 20 lat.

Ludzie i religia

Afrykanie, sprowadzeni tu kiedyś jako niewolnicy, przywieźli ze sobą muzykę, taniec i politeizm, który połączyli z hiszpańskim katolicyzmem z tamtej epoki, przesyconym kultem świętych. Święci noszą tu jednocześnie imiona afrykańskich bóstw, a przed ich figurkami w wielu domach znajdują się ołtarzyki, na których składa się im odrobinę jedzenia i picia. Synkretyzm religijny. Przeróżne grupy i sekty. Także próby leczenia przez magię.

Na wieść o mojej chorobie znajoma Galisyjka z samolotu prowadzi mnie do zaprzyjaźnionego „zielarza” swojej rodziny. W ciasnym mieszkaniu w Starej Hawanie widzę nowoczesnego mężczyznę w sile wieku i mały ołtarzyk jakiegoś *santo*, mogę też zajrzeć do księgi z przepisami na... gusła. Czuję się jak w złej bajce. Na moje pytanie, czy chodzi do kościoła i czy jakiś ksiądz wie o jego praktykach, odpowiada twierdząco. Jest jednak zdezorientowany. Zaniepokojony moją nieufnością nie chce mnie leczyć, tłumaczy się zmęczeniem. Oddycham z ulgą.

Do kościoła uczęszcza tu jeden promil ludności. Większość osób w ogóle nie wie, czym właściwie Kościół jest. Celowa polityka władz. Nie obchodzi się chrześcijańskich świąt, karnawał przeniesiono na lato, umysły ma napełniać rewolucyjna ideologia i zasada *carpe diem*. Nieliczni praktykujący nie obnoszą się ze swoimi przekonaniami, sami o nich nie mówią, dopóki nas lepiej nie poznają.

Mimo komunistycznej laicyzacji, synkretyzmu religijnego, kultu ciała i południowego temperamentu czuje się, że to Ameryka Ł a c i ñ s k a, a więc przestrzeń z wrażliwością inną niż w krajach niemających nic wspólnego z chrześcijaństwem. Zauważam to i porównuję z Afryką Północną, w której byłam w dzieciństwie. Inne dziedzictwo kulturowe, rozumienie człowieka, traktowanie kobiety, inne podejście do cierpienia, okrucieństwa. I pomyśleć, że Europa nie chce pamiętać o swoich korzeniach...

Do najbliższej parafii św. Jana Bosko jeździmy autobusem. Wyprowadza nas z przesiadką. Proboszczem jest ksiądz z Włoch. Przyjeżdżamy tu wiele razy, rozmawiamy. Po jakimś czasie ksiądz znika. Wyjechał. Po powrocie do Polski dostaję od niego list z dramatyczną informacją, że został deportowany z Kuby, prosi o modlitwę.

Któregoś wieczoru wybieramy się pod Hawanę, do swego rodzaju rewolucyjnej świątyni – bazy dla Salwadorczyków rannych w czasie trwającej właśnie w ich kraju wojny domowej podsycanej przez rząd Kuby. Po obozie oprowadza nas wysoki chłopak i z rozpierającą go radością obwieszcza, że nauczyli go tu czytać; z dumą pokazuje, że wie, gdzie znajdujemy się na mapie. Potem tańce na obozowym placu. Na środku szaleje szesnastoletnia dziewczyna z protezami nóg, ja rozmawiam z chłopakiem, który stracił oczy i rękę. Serce omal nie pęka z żalu.

Na szczęście mieszkam z

Olą.

Układamy świat naszych wartości na nowo. Tak samo jak przedtem, ale na nowo. W pojedynkę byłoby trudno wobec powszechności innego modelu tutejszego życia. Umacnia też to, co wyniosłyśmy z domu dzięki naszym Rodzicom.

Ten pobyt daleko od domu zbliża nas. Zbliża nas też moja choroba. Wiem, ile kosztuje Olę wstawanie o szóstej rano i towarzyszenie mi do kolejnych lekarzy. Są kompetentni i chcą pomóc. Wszystko jednak trwa długo. Staramy się mieć ze sobą jakiś załącznik za „lepsze” peso. Docieramy nawet na rezonans magnetyczny do nowocze-

snego szpitala Ameijeiras, gdzie leczą się tutejsze elity i obcokrajowcy. Choroba postępuje i martwię się, czy dam radę sama wrócić do Polski. Decyduję się jednak rozpocząć leczenie tutaj. Czuję, że Ktoś się troszczy o mój los. Objawy choroby zaczynają się cofać jeszcze przed rozpoczęciem kuracji. Resztę załatwiają leki. Ola robi mi zastrzyki. Zdobyte „jednorazówki” wyparzam po użyciu w szklance z gorącą wodą, by przedłużyć ich przydatność. Radzimy sobie. Zostaję do końca stypendium.

Norberta

poznajemy krótko po przyjeździe. Jest czarnym Kubańczykiem. Także pomaga mi w chorobie. Załatwia konsultacje u znajomego lekarza. Dużo rozmawiamy. Słyszemy, jak nas woła z portierni akademika. Jego głos musi dotrzeć na drugie piętro, bo nasz budynek, przeznaczony dla doktorantów (a to nam się udało!), jest lepszy od pozostałych, więc poza mieszkańcami i obsługą nikomu nie wolno tu wchodzić. Nasze rozmowy odbywają się w holu na parterze lub na zewnątrz. Rośnie zażyłość. Któregoś razu jestem zdziwiona bielą własnej ręki na tle jego karnacji. Kolor skóry nie dzieli, nie determinuje. Odkrycie.

Poznajemy jego historię i rodzinę. To jego mama tak cudownie tańczy. Norberto, jak wielu innych, był na stypendium w Związku Radzieckim. Przyciąga go do nas to, że żyjemy inaczej, chce wiedzieć dlaczego. Odpowiedzią będzie jego chrzest kilka miesięcy później w kościele św. Jana Bosko, potem Pierwsza Komunia Święta. Ogrom radości z towarzyszenia komuś w odkrywaniu tej drogi, patrzenie na te małe cuda, które często wspierają neofitów. Szczęście. Spokojne i głębokie poczucie owocności mojego tu pobytu, odkrywanie czegoś, czego nie spodziewałam się znaleźć, wybierając się w świat po język i przygodę. Nie odczuwam nawet żalu, że przez chorobę nie jadę z pozostałymi dziewczynami na wymarzoną wycieczkę do Meksyku. Pojadę później na krócej do samej tylko stolicy.

Rafael

jest bardziej nieśmiały, mniej towarzyski. Biały. Podobnie jak Norberto jest studentem wydziału mechanicznego. Dołącza do naszego grona później. Czysty ideowiec i wrażliwy człowiek, nucący bez przerwy znane melodie. Jego ponoć uboga rodzina mieszka w Hawanie, on sam w akademiku. Nigdy nie zostaniemy zaproszone do jego domu. Myślę też, że nie rozumiemy powodów jego oddania ideom socjalizmu, tak jak i on nie rozumie naszych poglądów. Może jednak coś w nim drgnie i zostanie zasiane...

Gdy myślę o

powrocie do domu,

oprócz tęsknoty dostrzegam w sobie dystans i bardziej trzeźwe myślenie o własnym kraju, który nagle, tak jak i cała Europa, przestał mi się wydawać pępkiem świata.

Każda z nas wraca w innym terminie. Żegnam się ze wszystkimi z poczuciem, że pewnie widzimy się ostatni raz, mimo że tak ważne rzeczy mogliśmy dzięki sobie zrozumieć. Smutek ścisza gardło, lecz towarzyszy mu poczucie spełnienia oraz dziwna radość i satysfakcja z udanego ominięcia niebezpieczeństw.

Siedzę w samolocie i połykam coś słonego. Wiem, że zabieram stąd więcej, niż mogłam się spodziewać: wdzięczność za dar, jakim jest życie, i pewność, że Ktoś się nim opiekuje. I wierzę, że nikogo z tych, co tu zostają, nie pozostawia samych, bez pomocy.

Stary Łąd witam w Madrycie. Spędzę tu kilka dni, bo nigdy wcześniej nie byłam w Hiszpanii. Poprowadzi mnie oczywiście pani Jadwiga, od której mam adres znajomej mieszkającej blisko Plaza Mayor: „Tylko uważajcie, to jest zła ulica, ja byłam bezpieczna, mogłam uchodzić najwyżej za burdelmamę, nie to, co wy”. Calle de la Cruz to rzeczywiście ulica, na której po zapadnięciu zmroku stoją dziewczyny w oczekiwaniu na nocny zarobek. Europa wydaje mi się brudna, smutna i ciasna, zaczepki panów nie mają w sobie nic z kubańskiej lekkości. Rodzina znajomej, która wynajmuje pokoje stałym

lokatorom, jest jednak sympatyczna. Mimo braku miejsc dostaję pokój ich syna. Spędzam kilka nocy wśród ścian ze zdjęciami chłopaka uprawiającego wspinaczkę górską.

Zwiedzam najważniejsze miejsca stolicy, Eskurial i Toledo. Żegniam się z moimi gospodarzami, mam pozdrowić panią Jadwigę, która jest kłamrą otwierającą i zamykającą moją podróż, prawie jej patronką... Wracam do domu.

Jesteśmy inne, bogatsze. W Krakowie czeka na nas świat przekładu. Chodzimy na seminarium językoznawcze prowadzone przez panią Jadwigę, która nieodmiennie odkrywa rzeczywistość, dodaje otuchy w naszych zmaganiach z pisaniem pracy magisterskiej, chwytając każdą rodzącą się w nas nieśmiało myśl i upewnia o jej racji bytu. Ja piszę z kubańskiego przekładu powieści Tadeusza Nowaka, Ola o ustnym tłumaczeniu konsekwentnym. Klimat tych spotkań zostanie gdzieś we wnętrzu i zaowocuje, gdy z kolei wobec moich studentów będę się starała nie tkwić sztywno za katedrą, być dla nich kimś żywym, najpierw człowiekiem, dopiero potem nauczycielem, wyjść poza ramy samych tylko zajęć. Bo świat pani Jadwigi, do którego nas zapraszała, to także konferencje translatorskie, publikacje z czasem także i naszych tłumaczeń, organizowane przez nią n a s z e , jej studentów, wieczory autorskie; odsłanianie możliwości i zachęta, by pójść razem z nią jej drogą...

Po powrocie ze stypendium pani Jadwiga proponuje nam, by coś o nim napisać. Robimy to jednak dopiero teraz, 20 lat później, spełniając tamtą prośbę i chcąc jednocześnie spłacić dług wdzięczności.

Olgierda:

Na uniwersytecie, gdzie pracuję od prawie dziesięciu lat, często organizowane są warsztaty, wykłady, seminaria na tematy: Jak włączać swoją pracę naukową w dydaktykę? Jak przygotowywać studentów do wyjazdów zagranicznych? Jak inspirować do pisania dobrych, mądrych prac magisterskich? Nie bardzo są mi potrzebne, właśnie dzięki pani Twardzikowej. Obok mojego Taty, również nauczyciela i wychowawcy akademickiego, obok pani prof. Urszuli

Dąbskiej-Prokop i jeszcze kilku innych profesorów pani Jadwiga, będąc po prostu sobą, uformowała mój styl jako badacza naukowego, moje podejście do studentów, mój sposób na istnienie w środowisku akademickim.

Jan Paweł II mówił do profesorów: „Bądźcie świadkami raczej niż wykładowcami”. Pani Profesor Jadwiga Konieczna-Twardzikowa była takim świadkiem, świadkiem pasji poznawczej, wiedzy niezgłębionej a zgłębialnej, szczerego zainteresowania drugim człowiekiem, witalności, nieustawania. Bo do dzisiaj widzę, jak w zmęczeniu, zabieganiu trudnych lat 80., pośród tysiąca spraw swoich i spraw studentów, z niewyczerpanym entuzjazmem i błyszczącymi oczyma wyciąga kolejny tekst – kolejne wyzwanie, kolejną przygodę...